

Błażej Brzostek: Tyrmand był niesłuchanie uprzywilejowany

Pytanie o fenomen Tyrmanda jest pytaniem o możliwości oporu, ale wszystko uzależnione było także od sytuacji osobistej



Pytanie o fenomen Tyrmanda jest pytaniem o możliwości oporu, ale wszystko uzależnione było także od sytuacji osobistej - Marcin Furdyna i Marek Rodzik w rozmowie z dr Błażem Brzostkiem w najnowszym numerze Teologii Politycznej Co Miesiąc pt. "Warszawa Tyrmanda"

Najnowszy numer TPCM - można pobrać za darmo (kliknij)

Marcin Furdyna, Marek Rodzik: W 1950 roku został przeprowadzony spis ludności w Warszawie, z którego wynikało, że spośród 660 tysięcy mieszkańców aż 500 tysięcy deklaroowało przedwojenne korzenie warszawskie. Rok później liczba mieszkańców wzrosła o 150 tysięcy. Jak w początkowych latach Polski Ludowej wyglądała struktura ludnościowa stolicy?

Błażej Brzostek: Dane tego spisu były podważane – sądzono, że liczba przyznających się do przedwojennych korzeni warszawiaków była zawyżona. Deklarowano to z różnych powodów. W latach stalinizmu ludzie bali się wysiedleń, w związku z czym woleli podkreślać, że są przedwojennymi mieszkańcami Warszawy – zwłaszcza, że był to status nobilitujący. Zresztą przed wojną także lepiej było być starym niż nowym warszawiakiem. W każdym razie w latach pięćdziesiątych stolica liczyła od 800 tysięcy do miliona ludzi, z czego około połowy identyfikowało się z przedwojennym miastem – to naprawdę dużo!

Przeczy to obrazowi Warszawy jako miasta bez korzeni i ciągłości historycznej. Ci ludzie, wśród których był niewielki odsetek inteligencji, byli bardzo aktywni w latach pięćdziesiątych. Mam wrażenie, że Warszawa była wówczas bardziej wyrazista w sferze tożsamości niż dziś. Natomiast zjawisko „napływowych”, którzy rzekomo odebrali miastu duszę, jak dzisiaj wielu sądzi, nie było wcale specyficznie powojenne ani „komunistyczne”. Było właściwe dla Warszawy, od kiedy stała się wielkim miastem, czyli od ostatniej ćwierci XIX wieku, kiedy przekroczyła pół miliona mieszkańców. To skupisko rosło wtedy dzięki napływowi w niebywałym tempie. Warszawa była miastem przybyszów, ludzi „surowych”, zupełnie jej nieznających, wywodzących się przede wszystkim z dwóch środowisk:

wiejskiego i żydowskiego. To oni tworzyli nową rzeczywistość, obcą dla starych mieszkańców, co pokazuje między innymi Prus w „Lalce” w osobie Rzeckiego na tle nowych warszawiaków, którzy na końcu triumfują, obejmując miasto w posiadanie.

Jest jednak różnica: po drugiej wojnie światowej nowa ludność wchodziła nie w miasto żyjące, które ją onieśmielało, do którego musiała się dostroić, tylko w ruiny. Nowy system dawał także to, o czym śnić nie mogli ojcowie tych wychodźców ze wsi: pewność zatrudnienia i bardzo tanie utrzymanie. Dlatego ci powojenni wychodźcy czuli się w Warszawie znacznie pewniej niż poprzednie pokolenia migrantów.

Musiało to siłą rzeczy rodzić napięcia między nowymi a starymi mieszkańcami.

Oczywiście, wywoływało to negatywną reakcję odrzucenia ze strony tych, którzy byli związani z pewnymi tradycjami – nie tylko z przedwojenną Warszawą, ale z Powstaniem Warszawskim, które było niezwykle istotnym zwornikiem patriotyzmu warszawskiego lat pięćdziesiątych. O tym nie można było mówić, ale ludzie, którzy przeszli przez Powstanie, uczestniczyli wciąż w odbudowie miasta – system stalinowski nie wykluczał ich zupełnie.

Byli to ludzie, którzy mieli bardzo emocjonalny stosunek do odbudowy Warszawy. U przyjezdnych był to natomiast stosunek głównie instrumentalny. Stolica jawiła się im jako Eldorado, gdzie można szybko dojść do pewnej pozycji. Cezurą napływu nowej ludności był rok 1954, kiedy Warszawa została zamknięta administracyjnie. Po tej

decyzji nie dało się łatwo zameldować w stolicy. Wcześniej przyjeżdżał chłopak ze wsi do pracy, którą dostawał natychmiast na jakiejś budowie, otrzymywał miejsce w hotelu robotniczym i zameldowanie. Po 1954 roku żeby dostać meldunek w Warszawie trzeba było być albo specjalistą w jakiejś dziedzinie, albo poszukiwanym pracownikiem, albo pobrać się z osobą zameldowaną. Skłaniało to, oczywiście, do najrozmaitszych strategii, sztuczek, łapówek, fikcyjnych małżeństw itd. – powiedzmy, rozwiązań, jakich szukają dziś szarzy ludzie spoza Unii Europejskiej, aby się w niej osiedlić. To paradoks: Warszawa była miastem otwartym właśnie w klasycznym stalinizmie, a później – przede wszystkim z powodów gospodarczo-organizacyjnych – władze zdecydowały o jej zamknięciu.

W 1951 roku stolica powiększa się również terytorialnie. Jakie niesie to ze sobą konsekwencje?

Moim zdaniem przyłączenie do Warszawy rozległych przedmieść nie zmieniło istotnie sytuacji kulturowej miasta. Była to zmiana administracyjna. Ludzie mieszkali tam, gdzie wcześniej. Jakaś część z nich to byli przedwojenni warszawiacy, którzy po wojnie nie mogli wrócić do Śródmieścia z oczywistych powodów – dość masowo rozlokowali się w okolicy podwarszawskiej i w 1951 r. zostali ponownie wprowadzeni do miasta. Mieszkańcy wsi, którzy znaleźli się w obrębie „nowej” Warszawy, żyli tak jak wcześniej, choć stopniowo zaczęli się domagać pewnych udogodnień, choćby połączeń komunikacyjnych. Ten mechanizm zresztą działał zawsze przy rozszerzaniu się miejskich granic: ludzie niekoniecznie przychodzili do miasta, ale oczekiwali, że miasto przyjdzie do nich.

Jeszcze jeden fenomen tych lat, niezależny od wspomnianych zjawisk, to „dzikie” osadnictwo w Warszawie. Ludzie znajdowali sobie „niczyje” grunta i budowali domki, czasem w ciągu jednej nocy; usunięcie go i wysiedlenie wymagało już mitręgi, więc władze tolerowały ten stan rzeczy. Około 4 procent warszawiaków mieszkało w domach zbudowanych „na dziko” – jak na nowoczesne miasto była to ogromna ilość.

W swojej książce „Za progiem. Codziennosc w przestrzeni publicznej Warszawy w latach 1955-1970” dosyć duzo miejsca poświęcił Pan Doktor analizowaniu powiązań między rodzajami zabudowy i więzami społecznymi mieszkańców a odnoszeniem się przez nich do przestrzeni przydomowej. Jak te zależności przejawiały się wśród ludzi żyjących w kamienicach, osiedlach mieszkaniowych, wolnostojących domach i w „dzikim” budownictwie w latach pięćdziesiątych?

To był bardzo dziwny świat. Sądę, że dzisiaj rozumiem go lepiej niż w czasie pisania tamtej książki i na pewne problemy spojrzalbym inaczej. Warszawa była archipelagiem, wielkim zbiorowiskiem ludzi podzielonych na małe kolonie.

Wielu nie znajdowało swoich domów po powrocie do miasta. Wiązali się w grupy, szukali środowiska, które mogło im pomóc. W pierwszym rzędzie uprzywilejowani byli ci, którzy pracowali przed wojną w dużych instytucjach, wracający na gruzy odbudowywanych dawnych miejsc pracy. Ci, którzy nie mieli takich możliwości, garnęli się do nowych, dużych instytucji, na przykład Biura Odbudowy Stolicy. Te stare i nowe

instytucje starały się opiekować swoimi pracownikami, zapewniając im dach nad głową. Kwaterowały ich w pozyskanych mieszkaniach, a także w budynkach publicznych. W szpitalach mieszkała cała masa lekarzy, w obiektach należących do ministerstw zakwaterowani byli ich pracownicy wraz z członkami rodzin. Tworzyły się całe kolonie rodzinne. Była też ogromna liczba „dzikich” lokatorów, którzy znaleźli sobie puste mieszkania, organizowali dokumenty (np. świadczące o kombatancie wojennym) i znajdowali pracę.

Miewamy zakorzeniony w świadomości obraz ustroju totalitarnego, który działał z żelazną konsekwencją. To nieprawda. W systemie tego typu instytucje bez przerwy ze sobą rywalizowały – także w przestrzeni miejskiej: zwłaszcza o budynki i mieszkania. Byli gracze silniejsi i słabsi. Do potężnych trzeba zaliczyć administrację rządową (zwłaszcza resorty strategiczne, ministerstwo bezpieczeństwa, wojsko), administrację miejską czy instytucje odbudowy. W im silniejszej instytucji działał człowiek, tym więcej mógł dla siebie wywalczyć. Warszawa tworzyła setki takich wysp, kolonii mieszkaniowych, tworzonych logiką instytucjonalną, logiką rodzinną, protekcją znajomych czy własnymi umiejętnościami. Były też jednak osoby, które zachowały swoje przedwojenne mienie i wróciły do własnych mieszkań. Wreszcie – stolica w latach pięćdziesiątych to miasto, które budowało się niezwykle szybko. Nowe osiedla, które powstawały, otwierały kolejne pola rywalizacji i szanse dla ludzi, żeby znaleźli sobie nowe miejsca do życia.

Maria Dąbrowska zapisuje zimą 1950 roku w swoich dziennikach: „Warszawa nie czyszczona, brudna, okropna – nigdy jak żyję, tak zaniedbanej nie widziałam”. Z kolei Tyrmand w „Dzienniku 1954” nie może nadziwić się czystości przedwojennej Warszawy,

Krakowa, Poznania. W końcu konstatuje: „Ciekawe, jak brud fizyczny stał się, w oczach mojego pokolenia, symbolem komunizmu”. W jakim stopniu takie porównanie przedwojennej i powojennej stolicy odpowiadało rzeczywistości?

Trzeba by się najpierw zastanowić, co to brud, a co czystość. To są kategorie względne i zmienne, zależące od społecznej percepcji. Mamy mnóstwo przedwojennych źródeł, które przekazują obraz Warszawy jako miasta brudnego. W obrębie śródmieścia za czystą uchodziła część południowa, od Alej Jerozolimskich w dół. Im dalej na północ, tym przedstawiciel elit miejskich czuł się gorzej. Stare Miasto było plebejskie i w dużym stopniu zdegradowane. Dzielnica żydowska uchodziła za straszliwie brudną, podobnie jak zachodnie dzielnice robotnicze i większość prawego brzegu. Sytuacja zmieniła się pod koniec lat trzydziestych, kiedy nawet w „Prosto z Mostu” można było przeczytać, że dzielnica żydowska staje się czystsza. Z gęsto zabudowanego, nieczystego śródmieścia elity wciąż uciekały na Żoliborz, Saską Kępę, na Mokotów, do „miasta-ogrodu” Sadyby.

Rozumiem jednak, że chodzi nam o trop „cywilizacji komunizmu” i przypisywanego jej brudu. Mamy przekazy Polaków oglądających okupację radziecką Wilna i Lwowa, powtarza się w nich ten motyw. Przemiana miasta, z dnia na dzień pogrążającego się w brudzie. W relacjach Aleksandra Wata jest to brud fizyczny i moralny. „Wszystko tam szmatławiło” - mówił o Lwowie 1939/1940. Widział w tym ducha Azji, „błoto rosyjskie”. Bardzo podobne były wspomnienia Tyrmanda z Wilna. Odnosił je do Warszawy AD 1954, miasta niechlujnego, atmosfery *naplewat*, jak pisał, ogólnego zubożenia, które stowarzyszyło się z brudem. Ryszard Kapuściński gdzieś napisał, że cywilizacja ZSRR to buty brudne, a Rzeszy – lśniące. Lecz przecież

sytuacja okupacyjna oznacza przeważnie ograniczenia materialne, w tym zaniedbanie fizyczne. Okupowana przez Niemców Warszawa była brudniejsza od przedwojennej. Okupowany (o ileż łagodniej) Paryż także.

Dalej: jak powojenne miasto, które w 60 procentach składało się z ruin, mogło zachować czystość? Z ruin się kurzyło, rozmywał je deszcz, rozsypywał wiatr. W Warszawie po 1945 roku były okresy lęku przed ruinami, które przewracając się wskutek wichur jesiennych grzebały pod sobą mnóstwo ofiar. Kolejna rzecz – bezustanna, wszechogarniająca budowa. Metody lat pięćdziesiątych: przewożenie cegieł i gruzu odkrytymi wozami konnymi, burzenie ruin przy pomocy ciągnięcia linami i uderzania „babą”, pośpieszne wznoszenie nowych domów. W dodatku robili to ludzie, którzy nie byli przyuczeni do dbania o porządek na placu budowy i przestrzegania bhp.

Był niewątpliwie też jakiś „systemowy” rodzaj brudu i zapuszczenia; jakiś kontrast między monumentalnymi wizjami przyszłości a teraźniejszością, na którą jak gdyby machnięto ręką. Dążenie ku utopii, które oznacza w istocie rzecz pogardę dla potrzeb codziennych. Wreszcie – powierzchowne przystosowanie, powiedziałbym, niechlujne przystosowanie. Te transparenty rozwieszane w mieście, o których pisał Tyrmand, że przypominają szmaty, z których odpadają litery haseł. Miało to zresztą historyczne asocjacje. Tyrmand pisał o rosyjskiej atmosferze niechlujstwa, co było odniesieniem do nie tak dalekiego doświadczenia polskiego. W czasach carskich, istniał stereotyp wschodniego barbarzyństwa, które obróciło Warszawę w – jak pisał Żeromski – gród carskiej satrapii, prowincjonalny i nieporządnny. Przy czym nie komentowano faktu, że Warszawa nigdy nie była

miastem zachodniego typu. W XVIII w. była opisywana przez przybyszów z Zachodu jako pełna błota i brudu, chaotycznie zabudowana.

Jeszcze inną kwestią jest pytanie, kogo ten brud warszawski raził. Moim zdaniem przede wszystkim te osoby, które zaznały życia w „lepszyc” dzielnicach dawniejszej Warszawy. Inteligenci, poruszający się przed wojną na trasach pl. Unii Lubelskiej – pl. Zbawiciela – Mokotowska – Marszałkowska - Nowy Świat – Mazowiecka – Ogród Saski. „Ziemiańska”, „IPS”, „Lourse”. Nie chadzali po Nalewkach, Gęsiej, Bagnie. To był ten świat przedwojennego literata, mecenasa, lekarza warszawskiego, który przestał istnieć.

W jednej ze scen filmu „Człowiek z marmuru” Mateusz Birkut po wyjściu z więzienia w czasie odwilży gomułkowskiej pojawia się znów w Nowej Hucie. Pyta o drogę kioskarke, która stwierdza, że w mieście nie ma tabliczek z nazwami ulic, gdyż ludzie doskonale się bez nich obywają. Podobna sytuacja panowała w latach pięćdziesiątych w stolicy – miasto nie było czytelne, brakowało tabliczek z nazwami ulic, drogowskazów. Pewną zmianę przyniósł 1955 rok, kiedy w Warszawie odbywał się V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Miasto musiało zyskać na czytelności, żeby podolać wysiłkowi ugoszczenia tysięcy gości z Polski i zagranicy. Jak radzono sobie w Warszawie lat pięćdziesiątych z poruszaniem się w nieoznakowanej przestrzeni?

Przy okazji festiwalu w 1955 roku wydano w masowym nakładzie plan miasta, którego nie było w latach wcześniejszych. Bardzo ogólny: obejmował wyłącznie tzw. dzielnice centralne, nie zaznaczono na nim

w ogóle dworców i mostu kolejowego. Lecz w porównaniu do obsesji tajności wcześniejszych lat wydanie planu było wydarzeniem.

Tak, w Warszawie trudno się było rozeznać, brakowało tabliczek z nazwami ulic, przewodników i informatorów. Książka telefoniczna Warszawy była wydawana w małym nakładzie i bardzo cienka. Wiele nazw ulic uległo zmianie, choć chyba nie na tak dużą skalę, jak w innych stolicach bloku komunistycznego. Ponadto struktura miasta odznaczała się niesamowitą zmiennością, bez przerwy gdzieś coś burzono i coś budowano. Wejście na plac Konstytucji dla człowieka znającego wcześniej Warszawę stanowiło wstrząs. Wszystkie istniejące ulice pozasłanianiano parawanami wysokich bloków, ich sieć stała się bardzo poplątana – wyloty zupełnie się nie spotykały. Taki był jednak projekt – stworzyć nową topografię stolicy: symboliczną i materialną. Widać to w sześcioletnim planie odbudowy miasta. Oczywiście nie odnosiło się to do Starówki, tego co nazywano Traktem Starej Warszawy, i dzielnic, które ocalały – stał prawie cały Żoliborz, duża część Mokotowa, Saska Kępa (dzięki temu te obszary dla przedwojennych mieszkańców były wciąż rozpoznawalne).

Pamiętajmy jednak, że ówczesna rzeczywistość społeczna była bardzo różna od dzisiejszej. Żyjemy w świecie bezustannej wymiany informacji, łatwo dostępnej publicznie dzięki Internetowi, telewizji, telefonom komórkowym. Lata stalinizmu to z jednej strony intensywna propaganda, wciskająca się w życie, brzmiąca z głośników ulicznych i radiowęzłów zakładowych, i zarazem pustka informacyjna, sprzyjająca kursowaniu wszelkich, najbardziej fantazyjnych często pogłosek. Można powiedzieć, że ludzie funkcjonowali we mgle, w której niezwykle intensywnie wymieniali między sobą informacje: co i gdzie

można kupić, dokąd można dojechać takim a takim tramwajem, zagadywali się, stojąc w kolejkach, przestając w bramach, czekając w maglach, w których rodziły się rzeczywiście najróżniejsze plotki.

Z drugiej strony taka sytuacja musiała sprzyjać integracji mieszkańców Warszawy.

Ludzie komunikowali się między sobą intensywnie, stanowiło to rys ówczesnej kultury, naznaczonej wciąż przez kontakty bezpośrednie. Mediów było bardzo mało, niewielu miało telefon. To był świat z radiem, ale bez telewizora, za to z kinem, które gromadziło tłumy. Z przeciążoną od ilości przesyłek pocztą. Wysyłano sobie kartki na wszystkie możliwe święta, rocznice i imieniny, intensywnie kursowały paczki (w mieście żywność była droga i trudno dostępna), do Warszawy dojeżdżały kolejki wąskotorowe wypełnione ludźmi wiozącymi jedzenie z prowincji – czy dla rodziny, czy na handel.

Stolica była miastem o silnych więziach społecznych. Dużo silniejsze niż dzisiaj były więzi rodzinne – kultura miała znamiona dość tradycyjne. Kwitło życie towarzyskie. Ludzie po wojennych przejściach skupiali się i żyli ze sobą w miejscach pracy. Środowiska mające poczucia zagrożenia czy wyobcowania mocno się konsolidowały – dotyczyło to np. kręgów katolickich. Wszystko to mimo (a może paradoksalnie: wskutek) polityki rozbijania więzi społecznych, o jakiej pisała Hanna Świada-Zięba. Zresztą rozbijano jedne więzi, inne próbowano tworzyć. Parafia czy duszpasterstwo akademickie były środowiskami, które starano się rozbijać, ale ZMP czy hufce pracy intensywnie propagowano. Swoją drogą więzi tworzące się choćby w ZMP były nieraz równie silnie i równie mało ideologiczne, jak te, które

system chciał zwalczać. Ludzie mieli po prostu potrzebę bycia blisko ze sobą. W czasie wojny wielu straciło bliskich. Inni zostali aresztowani. Inni jeszcze zdołali wyjechać w latach czterdziestych za granicę. Szukano oparcia tam, gdzie było można – u przyjaciół i znajomych, w miejscach pracy, w instytucjach oficjalnych. Warszawa była miastem wspólnot: wspólnot na przedmieściach, wspólnot ideowych, wspólnot rodzinnych.

Tyrmand pisał zarówno w swoim słynnym kryminale „Zły”, jak i w „Dzienniku 1954”, że jednym z symboli Warszawy był zatłoczony tramwaj. Przypomina to w jakimś stopniu jeden z fragmentów „Niezdolnej lekkości bytu” Kundery – zupełnie innej lektury, pisanej w zupełnie innym okresie i traktującej o późniejszych o kilkanaście lat czasach – gdzie Teresa zżyma się na przepelnione praskie tramwaje, w których ludzie miotają nienawistnymi słowami, w których urywają się guziki od płaszczy. Problemy z komunikacją publiczną miały więc zapewne także inne miasta Europy Środkowo-Wschodniej. Jak natomiast starano się sobie radzić w stolicy z chaosem komunikacyjnym, jakie środki próbowały przedsięwziąć władze miasta dla jej usprawnienia?

Słynne „winogrona”, czyli ludzie zwisający u drzwi, „jazda na cycku” – na buforze tramwaju. Nie tylko zresztą z braku miejsca wewnątrz – czasem dla uniknięcia opłaty. Tak, sytuacja była niezwykle trudna, dochodziło do wielu wypadków. Lektura prasy lat pięćdziesiątych, zwłaszcza „Expressu Wieczornego”, oddawała ten stan rzeczy: a to ucięło komuś nogę, a to dziecko zostało wypchnięte z tramwaju. Nie informowano o przyczynach strukturalnych, tylko analizowano poszczególne przypadki, podnoszono zdziwienie obyczajów czy złą pracę obsługi tramwajów. Zwłaszcza dla ludzi starszych, kobiet w ciąży,

ludzi przewożących większy bagaż (a powszechnie przewożono dość spory – torby wypchane zakupami, wózki) korzystanie z komunikacji było gehenną. Stanowiło to między innymi przyczynę długowieczności dorożek, które przemierzały ulice miasta mniej więcej do 1970 roku. W miastach Europy tej doby nie używano już takiego transportu. Dla porównania w Paryżu już w 1939 roku były zarejestrowane tylko dwa pojazdy konne. W Warszawie lat pięćdziesiątych, stolicy państwa „postępowego”, nikogo nie dziwił widok dorożki stojącej przy dworcu.

Warszawiacy zaznali jednak większych trudności. W 1945 roku stolica nie miała prawie żadnej komunikacji. Wyobraźmy sobie wielkie miasto pozbawione nie tylko komunikacji, ale też oświetlenia i chodników. Ludzie musieli pokonywać je z jednego końca na drugi: jeździć do pracy, załatwiać sprawy w odległych urzędach. Jednak rozwój taboru w latach czterdziestych postępował bardzo szybko. Już trzy lata po wojnie w mieście istniała sieć tramwajów, autobusów i trolejbusów. I to nie najgorszych – w 1948 roku zaczęły po Warszawie jeździć fabrycznie nowe francuskie autobusy Chausson. Były jednak zatłoczone ponad wszelkie wyobrażenie. Ogromnie powiększyła się bowiem ilość chętnych do przejazdu, nie tylko z powodu względnie niskich cen biletów.

Pamiętajmy, że system, który zapanował po wojnie miał charakter bardzo biurokratyczny. Był z zasady scentralizowany i oparty na planowaniu, a także zaborczy: „bitwa o handel”, represje wobec prywatnej własności i zatrudnienia, kontrola rynku mieszkaniowego. Prowadziło to do wytworzenia w mieście zupełnie innych realiów niż przed wojną. Wówczas wynajmowano „kąt” blisko miejsca pracy (na ogół małych zakładów), stąd można było na co dzień poruszać się pieszo, oszczędzając tym samym na biletach. Po wojnie człowiek

zatrudniał się na ogół w zakładzie podlegającym zewnętrznemu planowaniu, miał nikły wpływ na wybór mieszkania, otrzymywał je często z dala od pracy. Intensywne używanie komunikacji publicznej stało się więc koniecznością. Mieściło się zresztą w pożądanym oficjalnie wzorcu kolektywizmu, podobnie zresztą jak masowe wczasy czy masowa gastronomia.

Przed 1955 rokiem w narracji rządowej mówiono o „żywieniu zbiorowym”, potem – o „przemysle gastronomicznym”. Co kryło się za tymi terminami?

Były to próby zorganizowania ludziom jedzenia i życia przez instytucje publiczne. Sądono, że ludzie jedzą niezdrowo: za dużo mięsa i tłuszczów, za mało warzyw i witamin. Trzeba więc to żywienie zorganizować, zaplanować, poddać interwencji specjalistów – lekarzy, dietetyków. W dodatku te „złe nawyki” destabilizowały również sytuację na rynku. Narastał tzw. problem mięsny.

Gdzie przede wszystkim jadano w tamtych czasach?

W domu, jeśli się posiadało dom. W hotelu robotniczym i w miejscu pracy. Na stole przykrytym obrusem w domu i gazetą w pakamerze. W pracy, gdy stawiało się garnuszek na maszynie albo wyciągało chleb z kiełbasą. Latem – na łączce, „przy sobocie po robocie”. Pod Uniwersytetem Warszawskim na skarpie nie było osiedla przy ulicy Radnej, ale slumsy, domki zбите z drewna i blachy, gdzie mieszkała masa ludzi. Niedaleko, gdzieś w kierunku ulicy Karowej, był żeński hotel robotniczy, z którego wychodziły dziewczyny i zarabiały pod

skarpią jako prostytutki. W lecie wychodzono na wielką łąkę, która znajdowała się w miejscu dzisiejszego parku między Uniwersytetem a ulicą Browarną, gdzie grano w karty, opalano się, pito piwo i jedzono. To był model jedzenia – przynieść ze sobą.

Próbowano to zmienić przez model stołówki, ale nie było ich wcale dużo. Tylko duże zakłady i hotele robotnicze miały stołówkę. Publicznych kantyn nie było. Bary mleczne nie były miejscami zapewniającymi wyżywienie odpowiednie dla pracownika fizycznego. Restauracje i bary, których było nieporównywalnie mniej w stosunku do dzisiejszej Warszawy, stanowiły miejsce specyficznych grup, na ogół się tam po prostu dużo się piło. Natomiast restauracje miały silnie środowiskowy charakter, a niektóre z nich były po prostu rodzajami związkowej stołówki, na przykład literatów czy dziennikarzy.

Jadano najczęściej w domu, ale zdobycie w tych czasach jedzenia w sklepach nie było prostym zadaniem. Kolejka, ogonek – to pojęcia, które pojawiły się w słownikach języka polskiego w latach pięćdziesiątych, choć oczywiście samo zjawisko znane było dużo wcześniej. Jak próbowano sobie radzić w tym problemem?

Kolejki stały się w latach pięćdziesiątych codziennością. W pierwszych latach powojennych wpisywały się w ogólnie nienormalną czy nadzwyczajną sytuację. Dla władz zresztą sytuacja nadzwyczajna była argumentem dla wprowadzania różnych przejściowych instytucji, na przykład komisji specjalnej do walki ze spekulacją czy małego kodeksu karnego. Okazało się jednak, że sytuacja nadzwyczajna ciągle trwa i nie widać jej kresu. Naturalną potrzebą ludzką była potrzeba zakończenia tej sytuacji i stabilizacja. Tymczasem zaczęła się walka ideologiczna i

plan sześcioletni, czyli okres mobilizacji, która kojarzyła się z frontem! Panował lęk przed wybuchem wojny. I te rozgadane, rozzłoszczone kolejki były dowodem trwałej destabilizacji. Z drugiej strony stały się na tyle oczywiste, że zaczęły wchodzić w sferę normalności – sytuacja nadzwyczajna została oswojona.

Wymyślano różne metody, aby kolejki obejść, np. wykorzystując niepracujących członków rodziny (przede wszystkim emerytów), którzy wykupywali produkty przed wyjściem ludzi z pracy. Pamiętajmy, że nie były to realia, w których można było przechowywać dużą ilość żywności w domach, więc zakupy musiały być w miarę częste i regularne. Były przywileje statusu – kobiety w ciąży mogły podchodzić bez kolejki, więc rodziły się podejrzenia i sprawdzanie, czy pod ubraniem nie ma schowanej poduszki. Inwalidom wojennym sprawdzano legitymacje. Były to czasami sceny bardzo upokarzające, wyrażające bunt czekającego tłumu przeciwko przywilejom innych, często przeciwko słabym – bo przeciw komu miał się on obrócić? Jeżeli ktoś miał legitymację Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, to nie szedł do spółdzielni, ale do specjalnego sklepu. W związku z tym gniew masy obracał się przeciwko przywilejom elit władzy w sferze symbolicznej, a w sferze praktycznej przeciwko podobnie sponiewieranym obywatelom, którzy byli pod ręką.

Powiedział Pan Doktor, że zachowania ludzi w kolejce były symbolicznym buntem przeciwko przywilejom władzy. Bunt ten wyrażał się również w innych formach, na przykład w krótkotrwałych strajkach, napisach na murach czy w toaletach. Maria Dąbrowska w 1953 roku określiła nawet tę „twórczość wychodkową” jako „jedyne obecnie wyraz opinii publicznej”. W jaki inny jeszcze sposób wyrażał się sprzeciw przeciwko władzy?

Należałoby zacząć od zdefiniowania tego, czym była władza i jakie były jej granice. Gdy zaczniemy się nad tym zastanawiać, to okaże się, że niełatwo to ustalić. Możemy określić twarde jądro władzy i oczywiście instytucje powołane do represjonowania obywateli. Natomiast szeroka społeczna otulina władzy była na tyle duża, że granica między „nami” i „onymi” była bardzo trudna do uchwycenia. Bardzo wiele osób było reprezentantami jakiejś władzy: ideologicznej, organizacyjnej, symbolicznej itd. – człowiek podlegał różnym rodzajom władzy w jednym momencie i różnych rodzajów władzy się obawiał.

Mógł być w konflikcie ze zwierzchnikiem w pracy i się go obawiać. Ten zwierzchnik jednak nieczęsto bywał przedstawicielem władzy ideologicznej. Przeciwnie, mógł mieć z nią problemy. Wyobraźmy sobie: zwierzchnik pracownika administracji źle ocenia jego pracę, ale ten pracownik wie, że jego przełożony jest zagrożony przez organizację partyjną, ponieważ ma krewnych zagranicą, ciotkę w więzieniu albo przed wojną był członkiem OZON-u. Zwierzchnik posiada więc władzę formalną, ale podwładny może posłużyć się narzędziami władzy ideologicznej i starać się osłabić pozycję zwierzchnika. Bywało też, że przedstawiciel PZPR w zakładzie jest tą władzą „oswojoną”, że ludzie się go nie boją, ale obawiają się np. faceta ze związku zawodowego, o którym wiadomo, że donosi. Albo też mają na ogół dobre stosunki z szefową kadr, chociaż to ona winna wzbudzać lęk, ale za to przedstawiciel aktywu ZMP budzi obawy, ponieważ jest blisko z Bezpieczeństwem. Relacje władzy rozgrywały się na przecięciu struktur formalnych i nieformalnych, były czytelne dla samych zainteresowanych. Nie poddają się często schematom, które byśmy sobie wyobrażali.

W okupowanej podczas drugiej wojny światowej Francji działał ruch *zazou*, odwołujący się do kultury amerykańskiej, hołubiący jazz, manifestacyjnie ubierający się w charakterystyczny sposób. W latach pięćdziesiątych w Warszawie pojawiła się podobna subkultura bikiniarzy.

Bikiniarze mieli różne odpowiedniki w innych krajach – nie tylko *zazous* we Francji. W Związku Radzieckim był *stiliaga*, w Czechosłowacji *potapka*, w Rumunii *malagambista*. Malagamba był szefem jednej z najlepszej orkiestr jazzowych Bukaresztu lat trzydziestych. Gromadził wokół siebie tych, którzy chcieli naśladować nowojorski styl, ubierali się w kraciaste marynarki, wąskie spodnie, buty na grubej podeszwie. Nabrało to znaczenia politycznego, dlatego że „amerykanizm” ideologicznie potępiały reżimy zarówno lewicowe, jak i prawicowe. Malagamba był na przykład w latach czterdziestych dwukrotnie aresztowany pod tym samym zarzutem – jako degenerat przenoszący wzory upadłej kultury amerykańskiej. Najpierw przez nacjonalistyczny reżim Antonescu, potem przez reżim komunistyczny.

Jak potem władza komunistyczna odnosiła się do tych grup – przede wszystkim wobec bikiniarzy?

Metodą relacji zwrotnej – jeżeli jest grupa stygmatyzowana i represjonowana, to powstaje wewnątrz niej, w jej twardym jądrze, pewien opór, oparty na wzmocnionym poczuciu tożsamości. Powstaje pewna aura. W Warszawie wczesnych lat pięćdziesiątych puszczano muzykę z płyt w fotoplastykonie w Alejach Jerozolimskich (do dziś istniejącym), słyszalną na ulicy w bramie, aby przyciągać gości.

Pokazuje to zresztą, że w 1951/1952 roku właściciel fotoplastykonu nie musiał się takiego zachowania za bardzo obawiać. Problemy zaczęły się wtedy, gdy przechodzący obok młodzi ludzie zatrzymywali się i zaczęli tańczyć w tej bramie. To już była informacja dla grup aktywistów ZMP, czyli tzw. Brygad Lekkiej Kawalerii, mających reagować w razie różnych niepożądanych dla systemu zjawisk. Wysyłano ich między innymi na imprezy publiczne, podczas których obok tang i fokstrotów pojawiały się też szybsze utwory. Kiedy ubrani w charakterystyczne „ciuchy” młodzi zaczęli ostentacyjnie tańczyć na swój sposób – Brygady wkraczały do akcji. Bywały to interwencje bardzo brutalne. W „Wierze i winie” Kurońa czytamy, jak uczestniczył wraz z innymi aktywistami w takiej akcji na Żoliborzu. Po prostu wyciągano z tłumu tych niepokornych i ich bito. Zresztą działało to obustronnie – w tej samej książce Kuroń opisuje, że i on został innym razem mocno poturbowany pod kinem przez chłopców z dzielnicy jako znany działacz zetempowski.

Mnie się jednak wydaje, że legenda bikiniarstwa w dużej mierze została wytworzona przez system, który tym samym je zinstytucjonalizował oraz nazwał dla następnych pokoleń. W zasadzie aideologiczni pasjonaci amerykańskiej muzyki i stylu zostali napiętnowani – powstało zjawisko żyjące własnym życiem. Podobnie było z chuligaństwem – nazwa została nadana z zewnątrz, a potem część młodych ludzi zaczęła realizować program chuligański.

Swoją opozycyjną tożsamość wobec systemu budowali też przez odróżnianie się ubiorem Leopold Tyrmand czy Zygmunt Mycielski. Na ile było to widoczne na ulicach Warszawy? Jak dalece ludzie nosili się w sposób zuniformizowany?

Inaczej było latem, a inaczej jesienią i zimą. We wczesnych latach po wojnie żyło się ciężko. Dni powszednie wypełnione były krzątaniną wokół elementarnych spraw: zaopatrzenia domu w żywność czy opał, gotowania, zajęcia się dziećmi. Jazda tramwajami, chodzenie jesienią i zimą po zniszczonych ulicach (tylko na kilku zrobiono porządne nawierzchnie) pełnych błota. Trudno było mieć w tych warunkach czyste buty. Wszyscy ubierali się praktycznie. Ludzie nosili ze sobą duże torby, ażeby w nie schować różne rzeczy. Mało kto posiadał samochód, żeby móc nim cokolwiek przetransportować do domu. Gdybyśmy się przenieśli do Warszawy lat pięćdziesiątych, zobaczyliśmy spektakl ulicy obładowanej, dźwigającej.

To, że jesienią lub zimą ludzie nosili się szaro i monotennie wynikało z ich możliwości – przez wiele lat używali tych samych, wciąż naprawianych płaszczy. Ubierali możliwie najgrubsze ubrania, żeby chronić się przed zimnem. Jeszcze w latach pięćdziesiątych niejedyn mieszkańiec Warszawy nosił części munduru wojskowego, w którym dawniej został zdemobilizowany. Czyścibutów w Warszawie można było znaleźć pod hotelem „Polonia”, gdzie glansowali obuwie dla cudzoziemców czy lepszego towarzystwa, wsiadających zaraz potem do samochodu lub dorożki. (czyszczenie dla chodzących po brudnych ulicach nie miałoby sensu). Większość nie korzystała z tych usług.

Kiedy jednak wiosną i latem młoda kobieta chciała ładnie wyglądać, to zamiast gotowych ubrań kupowała tkaninę, a potem albo szyła sobie sukienkę według własnej fantazji, albo udawała się do krawcowej. Ta prawdziwa moda rozwijała się spontanicznie w taki oddolny sposób. Dzisiejsza Warszawa jest o wiele bardziej zestandaryzowana. W stolicy wczesnych lat pięćdziesiątych ludzie radzili sobie, jak mogli. Niektórzy

mieli ubranie z „ciuchów”, niektórzy z paczek, niektórzy jeździli kupować zagraniczne ubrania w Gdyni od marynarzy. Tyrmand zresztą pisał, że znaczna część pracujących dla reżimu dziennikarzy czy artystów prywatnie chodziła w „ciuchach”.

Powiedzmy o jednym jeszcze charakterystycznym zjawisku w Warszawie tych lat. W niedzielę ubierano się odświętnie – inaczej niż w dni powszednie. W ten dzień wyjście do kościoła stanowiło oczywistość dla większości mieszkańców stolicy. Potem wybierano się do cukierni na lody lub ciastka. Ludzie w Warszawie żyli takim rytmem tygodnia.

Wróćmy po raz ostatni do Tyrmanda, którego osoba była pretekstem do przeprowadzenia tej rozmowy. Jego „Dziennik 1954” przypomina swoją drogą „Szkice Piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego, które również częściowo były umiejętną autokreacją po latach. Jak w świetle „Dziennika” wyglądało życie Tyrmanda na tle ogólnego życia codziennego Warszawy lat pięćdziesiątych?

Tyrmand był niesłychanie uprzywilejowany. Był sobie sterem i okrętem – najwyższy przywilej w tym systemie. Także dzięki temu, że nie miał bliskich na utrzymaniu. Rodziny, dzieci. Miał natomiast pokój, meldunek i, choć pozbawiony stałej pracy, możliwość zarabiania dzięki rozwiniętym kontaktom w świecie filmu czy prasy. Pozostając bez etatu nie musiał cierpieć związanych z nią nacisków systemu władzy: chodzić na pochody, uczestniczyć w zebraniach itd. Pytanie o fenomen Tyrmanda jest pytaniem o możliwości oporu, ale wszystko uzależnione było także od sytuacji osobistej. Doświadczenie Tyrmanda było całkowicie niecharakterystyczne dla społeczności Warszawy. Z drugiej

jednak strony było charakterystyczne dla pewnej, bardzo małej grupy ludzi, którzy mogli funkcjonować jak ludzie wolni – w sensie życia codziennego i gospodarowania swoim czasem. Tyrmand zresztą sam przyznaje w „Dzienniku”, że gdy inni muszą siedzieć na zebraniach i wygłaszać referaty, on może sobie chodzić ulicami. Może być obserwatorem życia, które niejako toczy się obok niego. To nie była sytuacja łatwa, miał bowiem często poczucie wypchnięcia na margines; był to jednak margines dający poczucie wolności.

Rozmawiali – Marcin Furdyna, Marek Rodzik

Najnowszy numer TPCM - można pobrać za darmo (kliknij)

Dr Błażej Brzostek (ur. 1977) – pracownik Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizujący się w historii społecznej XX wieku, członek redakcji magazynu historycznego „Mówią Wieki”. Wydał między innymi: „Robotnicy Warszawy. Konflikty codzienne (1950-1954)”, „Za progiem. Życie codzienne w przestrzeni publicznej Warszawy lat 1955-1970”, „PRL na widelcu”.